

Nr. 5. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci, Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci! 1. Marca.

WAKACJE ZDZISŁAWKA.

I.

Słońce miało się ku zachodowi. Przed gankiem białego dworku wiejskiego siedziała pani Krzycka otoczona kilkorgiem drobnych dziatek, z których najstarsza córka Zosia liczyła około lat ośm Chociaż zajęta rozmową z dziećmi, którym trzeba było odpowiadać na ich niezliczone zapytania, pani Krzycka zwracała nieustannie oczy ku gościńcowi, jakby wyglądała czyjegoś przybycia. Niezadługo dał się słyszeć turkot nadjeżdża-

jącej bryczki; pani Krzycka podniosła się i dzieci powskakiwały na ławki. Bryczka przybliżała się szybko. Poznano koniki, poznano nadjeżdżającego. Dzieci skaczą z radości i klaskają w dłonie, a skoro bryczka już stanęła przed gankiem, pani Krzycka zbiegła ze schodków aby powitać wyskakującego z bryczki najstarszego syna, dwunastoletniego Zdzisławka, który przyjechał na wakacje.

Łatwo pojąć jakie było powitanie po dziesięciomiesięcznem rozłączeniu, ile pocałunków najtkliwszych odebrał Zdzisławek, na ile zapytań odpowiedzieć musiał! I on także tkliwie witał matkę i rodzeństwo i nie jednem obarczył je zapytaniem; wspomniał także i o ojcu, lecz jego nieobecność nie dziwiła Zdzisławka, dowiedział się bowiem w drodze od służącego Wojciecha, który jeździł po niego, że ojciec dla poratowania nadwątlonego zdrowia wyjechał do kąpiel i miał powrócić dopiero w późnej jesieni, prawdopodobnie po wakacjach.

Cała rodzina z powodu przybycia Zdzisławka była upojona radością i on także był, lub przynajmniej zdawał się być w wyśmienitym humorze. Uderzyło to panią Krzycką że się mienił na twarzy, że był to blady, to czerwony; Zdzisławek wymówił się znużeniem i lekkim bolem głowy. Zapytany jak mu szły nauki, nie taił że był pierwszym w klasie, rozpowiadał dziwy o swoich zdolnościach i swojej pilności, przytaczał mnóstwo anegdotek jak nieraz bystrością swego umysłu zadziwił profesorów, jak nieraz zawstydził kolegów o wiele starszych od siebie. Pani Krzycka chociaż nie wątpiła bynajmniej że to wszystko co mówił Zdzisławek było prawdą, chciała obejrzeć jego świadectwa. Na wzmiankę o świadectwach chłopczyk zarumienił się znowu i nie mógł ukryć pewnego pomięszania. Przyznał się nareszcie że je zgubił. Była to wielka szkoda, bo ani wątpić że ojciec kiedyś zechce koniecznie obaczyć świadectwa. Chociaż zgubić coś nie jest wcale rzeczą nadzwyczajną, zwlaszcza gdy się ma lat dwanaście, wydało się to matce jakoś dziwnem że Zdzisławek zgubił właśnie świa-

dectwa, majątek studenta. Nie podejrzywała jednak syna, bo wiedziała że dawniej nigdy nie kłamał. Tymczasem Zdzisławek zaczął znowu rozpowiadać o swoich tryumfach w szkole i odwrócił uwagę matki od niemiłego przedmiotu.

Wesoła rozmowa, pieszczotami przeplatana, przeciągła się do późna. Nareszcie pani Krzycka oddaliwszy młodsze dzieci do ich pokoju, odprowadziła Zdzisławka do pokoju ojca, gdzie miał sypiać przez czas wakacji i raz jeszcze ucałowawszy go na dobranoc, udała się do siebie na spoczynek.

Zdzisławek usiadł na łóżku, wsparł głowę na ręku i dumał. Cóż to za myśli mogły go tak mocno zajmować?

Długa chwila minęła, a on jeszcze nie klęka do pacierza, nie rozbiera się, lecz ciągle siedzi nieruchomy, w ciężkiem pogrążony zadumaniu.

Zerwał się nareszcie, załamał dłonie:

— To grzech! to grzech okropny! Oszukałem najlepszą z matek... O! Boże! O! Boże! czemuż usłuchałem zgubnych rad Wojciecha?

— Pójdę, wyznam wszystko mamie, niech mię ukarze, niech mi tylko przebaczy... o! moja mamo droga! ja ciebie kocham zawsze...

I znowu dumał.

— Nie, już za późno; za daleko zaszedłem, wrócić się już prawie niepodobna, trzeba brnąć dalej...

— Ależ to się wyda! o! Boże! o! Boże!

Znękany upadł na pościel; nie mogąc powstrzymać łez, zapłakał gorzko. Cóż postanowił?

— Obaczymy jutro! szepnął sam do siebie rozbierając się i bez pacierza położył się w łóżko, do jutra sprawę odłożywszy.

Ach! czyż to nie wszyscy postępują podobnie, gdy idzie o naprawienie złych uczynków?

Tuż za ogrodami, otaczającemi, dworek w którym odbywa się nasza powiastka, stał kościołek parafjalny z plebanją. Pro-

boszcz miejscowy był szkolnym kolegą pana Krzyckiego i serdecznym całej jego rodziny przyjacielem a nawet nauczycielem jego dzieci. Zdzisławek przed wyjazdem do szkół także pobierał nauki od księdza Szymona. Czcigodny proboszcz usłyszawszy że Zdzisławek przyjechał na wakacje, nie czekał aż go tenże odwiedzi, lecz nazajutrz zaraz po mszy pospieszył do dworu aby uściskać dawnego ucznia. Zdzisławek spał jeszcze w najlepsze, a już pani Krzycka rozpowiedziała wszystko księdzu proboszczowi o pilności i postępach syna.

Posłano Wojciecha aby go zbudził.

— Udało się, proszę panicza wyśmienicie; rzekł tenże wchodząc do pokoju Zdzisławka. Nikt się niczego nie domyśla; nikt zgoła, ani pani, ani ksiądz proboszcz.

— Więc już i proboszcz oszukany! Wszystko stracone! wykrzyknął Zdzisławek.

— Panicz mię nie zrozumiał, proboszcz nie domyśla się niczego.

— Mój Boże! Mój Boże! Cóż ja mam począć!

— Spuść się tylko panicz na mnie, wszystko pójdzie dobrze.

— Niegodziwcze, ależ ty mię do złego prowadzisz!

— Tak? Do złego? Więc to źle oszczędzić rodzicom zmartwienia? Więc to lepiej żeby się pan i pani na panicza gniewali? Żeby się wszyscy naśmiewali z panicza? Tak, tak, to nagroda za moje dobre serce... Ale ja się już domyślam dlaczego panicz teraz tak mówi — to tylko dla tego żeby mi nie dać tych kilka złotych, które mi panicz obiecał w nagrodę.

— Rzuciłbym ci je w oczy gdybym miał teraz, ale ty wiesz że dopiero po wakacjach, na odjezdnem dostaję od matki pieniądze.

— Poczekam, chętnie poczekam proszę panicza; wiem że mi nie przepadnie, bo panicz prędzej lub później oceni moje dobre chęci, tylko trzeba słuchać moich rad szczerych. Wszystko pójdzie dobrze, a po wakacjach ja znowu panicza odwiozę, bo

pan tak prędko nie powróci, a tak nikt o niczem wiedzieć nie będzie, bo na mnie panicz może się spuścić, i tajemnicy dotrzymam i głowę także nie tylko dla kształtu noszę.

Wtem drzwi się otwarły i weszła pani Krzycka z proboszczem. Nim jeszcze Zdzisławek powitał księdza Szymona już tenże obsypał go pochwałami i życzeniami aby mu się wiodło podobnie w każdym roku szkolnym.

Zdzisławek nie bez zarumienia odbierał uściski dawnego nauczyciela. Głos wewnętrzny mówił mu że jeszcze czas wyjść z fałszywego stanowiska, ale rzucił okiem na Wojciecha i w tejże chwili głos Anioła Stróża umilkł.

O świadectwach nie było mowy. Natomiast ksiądz proboszcz obiecał wziąść z sobą Zdzisławka w sąsiedztwo, dokąd właśnie wyjeżdżał. Pani Krzycka zezwoliła chętnie, a w godzinę potem Zdzisławek był już w drodze z proboszczem.

Ksiądz Szymon dumny z swojego ucznia, chwalił go głośno w domu, do którego go zawiózł. Zdzisławek zaczął smakować w pochwałach tak łatwo zyskanych. Młodsze dzieci, z któremi spotkał się tutaj, spoglądały na niego z niezwykłem uszanowaniem jakby na wielkiego człowieka, nie śmiały wołać go do swoich zabaw, ani bawić się z nim gdy się do nich przybliżył. Niektóre zaś z osób starszych słysząc o postępach i zdolnościach Zdzisławka, zapuszczały się z nim w rozmowę, dając mu sposobność do popisania się. Wówczas Zdzisławek uśmiechał się tylko lub młodszym dzieciom dawał znak aby się popisały. Nie zdradził się jednak ani razu i wyszedł zwycięzcą.

Tegoż samego dnia proboszcz odwiózł Zdzisławka do domu i chłopczyk zostawał odtąd ciągle pod okiem matki. Niestety matka w myślach jego czytać nie mogła, nie mogła odgadnąć co się w duszy jego dzieje? Zdzisławek na pozór zachowywał się bardzo przyzwoicie, nie swawolił, nie sprzeczał się z rodzeństwem, słowem, nigdy na żadne nie zasłużył napomnienie. Matka była z niego bardzo zadowolona i aby Zdzisławkowi czas przy-

jemnie schodził, jeździła z nim często w sąsiedztwo lub do krewnych. W całej okolicy wiedziano już że Zdzisławek uczy się bardzo dobrze, więc wszędzie widziano go bardzo chętnie i młodszym stawiano za wzór do naśladowania. Zdzisławek już się nie rumienił gdy go chwalono, owszem przyszło do tego że wpadał w zły humor gdy kto przy nim mówił dobrze także o innych dzieciach.

W dwa tygodnie po przyjeździe na wakacje tak przyzwyczaił się do odbierania pochwał, że uważał je jako hołd sobie należny i pyszył się jak paw.

Zatrudnienie na wsi inne jest jak w mieście. Polowanie, kąpiele rzeczne, jazda konna, oto czem starsze chłopczyki zajmują się na wakacjach. Zdzisławek i w tem nie celował nad towarzyszami, chociaż byli młodsi od niego. Aby jednak i tu nie stracić na znaczeniu, jakie już w ogóle zdobył sobie przez swoje przechwałki, o wszystkiem co słyszał o swoich rowieśnikach mówił zawsze z lekceważeniem i szyderstwem, każdy czyn drugich usiłował przy każdej sposobności poniżyć i wyszukiwał przeciw chwalonemu rozliczne, częstokroć błahe i najniesłuszniejsze zarzuty, aby się wyższym od niego okazać, słowem trzymał się zasady: Swoje na czoło, cudze do kąta — która często niestety popłaca w świecie. I Zdzisławek bardzo dobrze z tą zasadą wychodził.

Służący często pochlebiają paniczom, wiedząc że im z tem dobrze. Wojciech przez pochlebstwo gorliwie pomagał Zdzisławkowi w zdobywaniu rozgłosu tak u starszych, którzy tylko nauki i przykładnego sprawowania się żądali od niego, jak i u młodszych, którzy mniej ceniąc naukę, zwykle większą przywiązują wagę do zręczności fizycznej.

Gdy Zdzisławkowi wszystko tak szczęśliwie się wiodło, sam w siebie wmawiać począł że istotnie ma prawo do odbieranych pochwał i oddawał już słuszność radom Wojciecha. Nieraz jeszcze odezwał się w nim głos wewnętrzny, który go ostrzegał że jest na zgubnej drodze; wówczas Zdzisławek zastanawiał się przez

chwilę nad sobą i zdarzało się nawet że sam uczuwał ku sobie wstręt, jakby ożywiony świętem natchnieniem, rozrzewniał się i postanawiał jeżeli nie przed ludźmi, to przynajmniej przed Bogiem wyznać błędy swoje, ale nigdy nie przyszło do tego, bo Zdzisławek zawsze do jutra odkładał wykonanie powziętej myśli i chwile takie coraz się rzadziej zdarzały i coraz króciej trwały.

D. n.

ANIOŁ STRÓŻ.

— Czyj to głos, droga, kochana mamo,
Który w dzień jasny lub w mroczną ciszę,
Choć ciebie niema, choć jestem samą,
Tuż, tuż przy sobie wyraźnie słyszę?

Czyj to głos mamo, co w każdej dobie
Kiedym niegrzeczna gani mię z bliska...
I choć co złego kryjomo zrobię
Rumieniec wstydu na twarz wyciska?

Czyj to głos mamo, co choć tajemnie
Uczynię dobrze, wie o tem przecie,
I gdym posłuszna cieszy się ze mnie,
Mówiąc: „Tak dobrze kochane dziecię".

Ja się go boję gdy napomina,
A kiedy chwali serce mi rośnie!
Kto tu jest przy mnie, mamo jedyna,
Co mówi groźnie albo radośnie?

— Dziecię! każdego posłannik Boży,
Co dniem i nocą powiek nie zmruża,
Strzeże — on dobrych cieszy, złych trwoży...
To głos twojego Anioła Stróża!"

J. Ch.

HABDANK.

Pięciu mieliśmy Bolesławów, a z małym wyjątkiem o żadnym nie można powiedzieć by nam źle panował. Oni to przeważnie ugruntowali królestwo polskie i posiadłości jego zewsząd rozszerzyli, oni to poskramiali przez czas niemały licznych nieprzyjaciół i przegrodzili ich od siebie żelaznemi słupami. Ale bo też potrzeba nam było wtedy takich Bolesławów. Polska jeszcze młodziuchna miała już wielu wrogów, co ją w każdej chwili rozszarpać chcieli. Ot dopiero co siadł na tronie polskim Bolesław Krzywousty, a już Niemcy, co sobie niesłuszne prawo zwierzchnictwa nad królem polskim urościli, szlą do niego posłów, by oddał koronę bratu swemu, przychylniejszemu [im zapewne Zbigniewowi] i zapłacił cesarzowi Henrykowi V. trzysta grzywien. Nie usłuchał tego oczywiście nasz Krzywousty, boć w tem nie było nawet i cienia słuszności. Nie przypuścił brata do rządu, bo wiedział że źle w tym kraju gdzie dwóch rządzi. Tem mniej zaś mieli Niemcy prawa wymagać od niego jakiejś daniny. On był zarówno panem pięknego kraju jak Henryk, a przecież jeszcze Chrobry pokazał że nie powinien żaden król polski hołdować Niemcom.

Dowiedziawszy się Henryk o niepomyślnym skutku swego poselstwa, zbiera liczny zastęp rycerstwa i spieszy do Polski nieprzygotowanej na taką zaczepną wojnę. Głogów najpierw oblężony, bronił się dzielnie przez długi czas, i ocalił wreszcie swą wolność, lubo drogiemi ofiarami, bo śmiercią swych synów, których dano nieprzyjaciołom jako zakładników. Ale pierwszy ten krok niefortunny nie zraża bynajmniej Niemców. Idą dalej w głąb Polski, ale im tu sam Bolesław z pięknem wojskiem drogę zastępuje. Wypadało więc albo stoczyć bitwę albo pogodzić się w jakikolwiek sposób. Bolesław chciał skończyć tę wojnę bez dalszego krwi rozlewu, więc posela do Hen-

ryka V. swego posła Skarbka, żądając by Niemcy natychmiast opuścili kraj polski i więcej go nie napadali. Ale Henrykowi ani mówić o pokoju. Tyle trudów i pieniędzy kosztowała go ta wyprawa, miałżeby ją skończyć tak niefortunnie? Miałże wybierać sromotny odwrót, gdy na pewne zwycięstwo liczył? Więc



odpowiada Skarbkowi że nie opuści pierwej Polski, aż Polacy złożą mu jako swemu zwierzchnikowi daninę trzystu grzywien i osadzą na tronie Zbigniewa. Skarbek wiedział dobrze przy kim

słuszność, wiedział także że pan jego mając tak piękne wojsko, niema się wcale czego obawiać. Dla tego nie waha się ani jednej chwili wypowiedzieć wojnę Niemcóm.

Już miał opuszczać dwór cesarski, gdy go jeszcze Henryk do siebie przywołał i do ogromnego skarbca swego zaprowadził. Tu otworzył skrzynię, przepełnioną złotem i innemi przeróżnemi kosztownościami, pewien że Skarbek olśniony jego wielkiemi bogactwy, przystanie na odrzucone dopiero co warunki. Pełno tam wprawdzie było najrozmaitszych kosztowności, lśniło się złoto; ale cóż to wszystko ma do zwycięstwa? Tak też myślał i on poczciwy poseł polski Skarbek. Nie uląkł się wcale bogactwa cesarskiego, przeznaczonego na zawojowanie Polski, ale z powagą wyrzekł do Henryka:

— Macie wiele złota, więcej nawet niż go jest w całej Polsce, ale cóż niem dokażecie? U nas za to nie brak żelaza, a więcej nam nigdy nie było i nie jest potrzeba. My nie złotem walczymy, ani srebrem, ale żelaznemi szablami a dzięki Bogu i poczciwej naszej sprawie zwyciężamy jakoś zawsze.

To mówiąc zdjął z palca kosztowny pierścień złoty, wysadzony drogiemi kamieniami i rzucił go do tej skrzyni, mówiąc:

— Idź złoto do złota!

Padł pierścień i zmięszał się z innemi kosztownościami.

Na taką zuchwałą odpowiedź nie był cesarz wcale przygotowany. Zdziwił się więc z całym swoim dworem tej butności Polaka i nic z początku nie mógł odpowiedzieć. Dopiero po chwili zdobył się na te słowa:

— Hab dank! to znaczy: dziękuję.

Odszedł Skarbek i opowiedział to wszystko Bolesławowi Krzywoustemu. Pochwalił go za tę odpowiedź król i w nagrodę nadał mu herb i przydomek Habdank, na pamiątkę słów wyrzeczonych przez cesarza niemieckiego.

Z HISTORJI NATURALNEJ.

Niedźwiedź brunatny.

Dwa są gatunki niedźwiedzi. Niedźwiedź brunatny jest i u nas dosyć znany, bo nie tylko w menażerjach można widzieć go często, ale także wyuczonego sztuk rozmaitych oprowadzają nieraz po ulicach miast naszych; niedźwiedź biały czyli polarny, który w sile wyrównywa lwu a w dzikości hyenie, nie może znosić naszego klimatu i dla tego nigdy go u nas nie widziano.

Niedźwiedź brunatny mieszka w lasach i na wysokich górach w Europie północnej. W puszczach litewskich dosyć jest pospolitym i w górach Karpackich błąka się czasem pojedyńczo. W Niemczech, gdzie dawniej lubił przebywać, jest prawie całkiem wytępiony, ale w Tyrolu, Karyntji, Styrji można go jeszcze napotkać. Ma cztery do sześciu stóp długości a dwie do półtrzeciej stopy wysokości. Jest cały pokryty włosem miękkim, długim, wełnistym, barwy brunatnej, czasem żółtawej. Żyje samotnie i smutne prowadzi życie. Zwykle ukrywa się pomiędzy kamieniami i w szczelinach skał, śpi bardzo wiele, jada mało, ale pomimo tego jest zwykle bardzo tłusty, zwłaszcza w jesieni. Gdyby nie to musiałby w zimie zdechnąć z głodu, bo nie robiąc zapasów, żywi się przez kilka zimowych miesięcy własną słoniną, liżąc własne łapy. Na zimę nie zasypia jak inne do tego samego rodzaju należące zwierzęta, ale póki wiosna nie nadejdzie przepędza czas w zupełnej nieczynności. Leżysko przysposabia sobie albo w rozpadlinach skał, albo w jakiem grubem wypróchniałem drzewie, albo wreszcie sam wykopuje sobie w ziemi jamę, wyściela ją liśćmi, gałęziami drzew i mchem. Z początku wiosny żywi się mrówkami i korzeniami kłosienicy wo-

dnej lub wężownika, następnie jada liście osiki i topoli. Zresztą jednakowo lubi mięso i rośliny. Napada na sarny, owce, kozy, nawet na krowy i konie, dusi je przedniemi łapami, ściskając za szyję, rozdziera pazurami i wysysa krew. Jeżeli zajdzie jakaś przeszkoda że nie może udusić zaraz swojej ofiary, tedy bierze ją w przednie łapy i unosi w miejsce bezpieczne, chybocąc się na tylnych łapach. W walkach z zwierzętami nie zawsze jest zwycięscą; częstokroć koń wybija mu zęby a wół przebija go rogami. Z roślin jada dzikie jabłka i gruszki, maliny, czernice, jarzębinę, szczególniej jednak lubi rozmaite soczyste łodyżki i korzonki. Nad wszystko przekłada miód, zakrada się też do pasiek i podchodzi barcie, ale wyprawa nie zawsze mu się udaje, bo dzikie pszczoły z największą zajadłością rzucają się na niego i bez litości kłują go żądłami w pysk i język. Jeszcze smutniejszy los spotyka go czasem w pasiekach: niewola lub śmierć z ręki człowieka. Bardzo także lubi mrówki. Rozgrzebawszy mrowisko wsadza pysk w środek i połyka chciwie te małe zwierzątka, które są tak nieostrożne że zamiast czem prędzej uciekać, wychodzą wszystkie na wierzch. W niewoli daje się z łatwością wyuczyć rozmaitych sztuk i umie być posłusznym. Tańcuje dość zgrabnie, a zdarza się czasem że nawet niektóre dzieci zawstydzi. Dawniej na Litwie panowie trzymali na swoich dworach niedźwiedzie dla igraszki. Wiadomo wam, moi czytelnicy, że książę Karol Radziwiłł p a n i e k o c h a n k u miał w zamku swoim w Nieświeżu całą służbę z niedźwiedzi złożoną. Jedne pełniły u bram zamkowych służbę straży, inne usługiwały w komnatach. Jeden z panów ogoliwszy niedźwiedziowi brodę pokazywał go jako dzikiego człowieka. Dziwiło to niektórych że ten c z ł o w i e k cały kudłaty, mruczy tylko a nie umie mówić. Inni wziąwszy żart za dobrą monetę, podawali nawet ręce kudłatemu jegomości, który tak był wyuczony że najprzyzwoiciej siedział na kanapie pomiędzy innymi osobami, pił herbatę i już nawet zaczynał się pysznić tureckim szlafrokiem i pokojową czapeczką, w którą go przybrano. Goście nie mogli pojąć jak człowiek może tak zdziczeć, iż stanie się całkiem do niedźwiedzia podobny. Nikt

jednak nie domyślił się podejścia. Owszem ktoś z obcych wziął brunatnego jegomości za podróżującego mędrca. Nie mało czasu minęło nim nareszcie jakaś tęższa głowa zrobiła odkrycie że to nie człowiek, ale po prostu niedźwiedź, którego tylko wyuczono układności dworskiej.

Niedźwiedź brunatny daje się szczególniej w znaki jednemu z ludów syberyjskich, Ostjakom. Mniemają oni że niedźwiedź ma także duszę nieśmiertelną i na tamtym świecie dusi ludzi podobnie jak na tym, wymyślili więc szczególny środek pojednania się z każdym zabitym niedźwiedziem, aby się na nich nie mścił gdy się z nim zejdą po śmierci. Owoż odprawiają następujący obrzęd: Zawieszają na drzewie futro zdjęte z zabitego niedźwiedzia, obchodzą je po kilkakroć w milczeniu, biją pokłony i nareszcie nucą hymn żałosny. — Jeden woła: Kto cię życia pozbawił? Chór odpowiada: Rosjanie!

— Kto ci odciął głowę?

— Rosyjska siekiera!

— Kto z ciebie zdjął skórę?

— Nóż rosyjski!

Na zakończenie wołają wszyscy:

— Pomiłuj! pomiłuj!

Tym sposobem niedźwiedź ma stać się tylko Rosjan nieprzyjacielem i ich tylko dusić na tamtym świecie, czego Ostjacy z serca im życzą.

Polujemy na niedźwiedzie już dla futer, których dostarczają, już dla pozbycia się ich jako szkodników wytępiających zwierzynę i napastujących trzody. Chłopi syberyjscy zabijają niedźwiedzi z pewnem okrucieństwem. Zastawiają na nie na wzgórzach sidła, przymocowane powrozami do ciężkiego kloca. Gdy niedźwiedź uwikła się w sidła i poczuje że te przeszkadzają mu iść, rzuca się zajadle na kloc i strąca go z góry. Oczywiście sam z nim także w dół spada, widząc zaś że jeszcze nie pozbył się swego ciężaru, wlecze kloc pod górę i strąca go zno-

wu. Tę straszną walkę powtarza zwykle dopóty póki sobie nie zgruchoce głowy lub tak nie osłabnie że się już ruszyć nie może.

Odważni strzelcy w kordelas uzbrojeni uderzają z przodu na niedźwiedzia i gdy się przybliży zatapiają mu nóż w gardle, lub kładą się na ziemi i udają nieżywych, a gdy niedźwiedź przybliży się aby leżącego obwąchać, myśliwy uderza go zabójczem narzędziem w miejsce najsłabsze.

Nowe książki.

Grody polskie, opis historyczny przez Władysława Zawadzkiego. Pod tym tytułem wyszła nie dawno we Lwowie nakładem Karola Wilda książka przeznaczona dla dorastającej młodzieży, ozdobiona sześciu rycinami kolorowo litografowanemi.

Grody polskie, sczerniałe mury i w gruzy walące się baszty, których każda cegiełka nosi na sobie piętno Bolesławowskich, Kazimierzowskich czasów, to wspaniałe pomniki dawnej świetności naszej, najdroższe dla nas pamiątki, skarbnica historji narodowej, a każdy rys historyczny, co nas przenosi w wieki minione i martwe głazy przyobleka nanowo w dawnej świetności szaty, aby nam ukazać czem były niegdyś, nie tylko tę ma zaletę że nas objaśnia i naucza w rzeczach, które Polakowi nie powinny być obce, ale oraz budzi i utrwala w nas zamiłowanie tego wszystkiego co nasze, ojczyste, co dla nas świętem być powinno. To miał na celu autor opisu historycznego Grodów polskich.

Gniezno, najdawniejsza Polski stolica, późniejszej potęgi kolebka, pierwsze zajmuje miejsce w tej książce. Opis historyczny tego miasta poprzedza piękna rycina przedstawiająca jego kościół katedralny, jedyny pomnik dawnej Gniezna świetno-

ści. Drugie miejsce przeznaczono niemniej starożytnemu Krakowi i wspomnieniom zrosłym z tym odwiecznym a tak nam drogim grodem. Nie pominięto też podań i legend powiązanych z historją Krakowa i przydano widok sukiennic. W dalszej po miastach ojczystych wędrówce autor opisuje nam Częstochowę z klasztorem na Jasnej górze i jej historyczne pamiątki, zatrzymuje się dłużej przy najrozleglejszej i najpiękniejszej z wszystkich miast polskich Warszawie, a opisawszy miasto i jego okolice, przydaje wspomnienie historyczne o pogrzebie, obiorze i koronacji królów polskich, uzupełniające to, co mówi wyżej o obu stolicach kraju. Załączona do opisu Warszawy rycina przedstawia widok żelaznej bramy. Następuje historja Wilna stołecznego grodu zbratanej z Polską Litwy, treściwy opis jego wspaniałych świątyń i innych celniejszych gmachów, z ryciną przedstawiającą kościół katedralny, nareszcie opis historyczny podnoszącego się coraz bardziej Lwowa i licznych jego zakładów naukowych i dobroczynnych, tudzież kościołów zwłaszcza katedralnego, obok którego znajdująca się kaplica ogrojcowa, okryta prześliczną rzeźbą w kamieniu, jest przedstawiona na załączonym obrazku. Już tylko kilkanaście kart pozostaje do końca, opis Kijowa, najstarszego miasta nie tylko na Rusi i w Polsce, ale w całej Słowiańszczyźnie. Lecz cóż to za ruiny przedstawia znajdująca się tu rycina? To szczątki złotej bramy, o którą Bolesław Chrobry miecz swój wyszczerbił. Smutny obrazek, a tak żywo przypominający nam szczęśliwszą przeszłość! *S. N.*

ROZMAITOŚCI.

Przykłady nadzwyczajnej siły. Maciej Kostka w XVII. wieku żyjący, tak wielką obdarzony był siłą, że podkowy, talary z łatwością łamał; siedmiu mężczyzn silnie trzymających się razem, w którąkolwiek chciał stronę, pociągał lub popychał,

postronki zrywał; całą talję kart rozdzierał bez trudności; w pasowaniu nikt go pokonać nie zdołał. Stanisław Radzyński, dworzanin Zygmunta Augusta, później kasztelan a wreszcie wojewoda Zakroczymski za Zygmunta III. tak był silny, że na jednej nodze stojącego nie można było powalić na ziemię; konia dzikiego schwyciwszy za uszy, trzymał dopóty w rękach, dopóki go kto nie kiełznał. Prokop Sieniawski, marszałek nadworny Zygmunta III., o którym mówiliśmy w zeszłorocznym Przyjacielu Dzieci, nietylko konia lub woła na wpół przecinał, ale i w pędzie z góry toczącą się poszóstną karetę za koło chwyciwszy wstrzymywał.

Olbrzymia strucla. Jakób Rubinkowski w dziele swojem: Promienie cnót królewskich po zgonie Augusta II., tak opisuje olbrzymią struclę daną Augustowi II. w r. 1730, w czasie pobytu jego w Saksonji. „Na wozie szesnastołokciowym, w 8 koni zaprzężonym, przywieziono struclę niewidzianej wielkości. No ten chleb, w piecu umyślnie nań wystawionym upieczony, wyszło 150 korcy mąki, ówczesnej miary Berlińskiej, jaj 82 kóp, dwie beczki mleka, beczka masła i beczka drożdży. Było go zatem wzdłuż sążni pięć bez łokcia, a dwa szerokości. Gdy przytomni państwo temu olbrzymowi chlebów z śmiechem się przypatrywali, kazał go król Jegomość przy gościach krajać. Wszedł zatem w środek wozu architekt z cieślą, który miał nóż trzyłokciowy z rękojęścią zakrzywioną, tę na ramię założywszy, tak wielką w środku kukiełki wyrznął za rozkazem architekta dziurę, że w niej mógł wygodnie stanąć i dopiero ze środka wedle dyspozycji architekta, wzdłuż i w poprzek tymże ją krajał nożem.“

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1. i 15. każdego miesiąca. Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w. a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a. Z przesyłką pocztową rocznie 5. Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda. Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktor odpow. Stanisław Nowiński. *Wydawca:* Władysław Zawadzki.

Drukiem M. F. Poremby we Lwowie 1866.